

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Zakon kawalerów maltańskich

Nad wspaniałym pałacem na Awentynie, podarowanym Zakonowi rycerzy maltańskich przez papieża Grzegorza XI, powiewała w ubiegłym tygodniu wielka czerwona bandera z białym krzyżem.

To rycerze maltańscy obchodzili swe wielkie a rzadkie święto: na wezwanie swego wielkiego mistrza, księcia Ludwika Chigi della Rovere Albani, zjechali się z całego świata do Rzymu, aby wziąć udział w Kongresie, a równocześnie zmanifestować swe niezmiennie przywiązanie do wiary chrześcijańskiej i do Stolicy Apostolskiej.

A jest to pierwszy kongres od blisko 150 lat, tj. od czasu, gdy Zakon zmuszony był opuścić swą poprzednią siedzibę na wyspie Malcie.

Z uwagi na wielką rolę, jaką Zakon rycerzy maltańskich odegrał w dziejach chrześcijaństwa godzi się przejść pokrótce jego historję oraz zobrazować jego działalność.

Początki zakonu sięgają połowy XI wieku, kiedy to grupa bogatych kupców z Amalfi wybudowała w Jerozolimie kościół pod wezwaniem Najśw. Marii Panny, a następnie klasztor i schronisko dla licznych pielgrzymów odwiedzających Ziemię Świętą.

Nieco później stanęła w pobliżu kapliczka, pod wezwaniem św. Jana Chrzciciela. Zakon zatwierdzony został w roku 1113 przez papieża Paschalisa II, który też zarządził, iż członkowie zakonu sami mają wybierać swego rektora.

Następca błog. Gerarda, Rajmund Dupuy, pierwszy przybrał tytuł „mistrza”, — on też ustanowił zatwierdzoną w roku 1120 przez papieża Kaliksta II — regułę zakonną przewidującą potrójny ślub: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, jak również specjalny strój i czarny płaszcz z naszytym białym ośmiokątnym krzyżem.

Członkowie zakonu, obok akcji charytatywnej (pielęgnowanie chorych, opieka nad pielgrzymami) biorą żywy udział w walkach z Turkami.

Po zdobyciu Jerozolimy przez niewiernych w r. 1187 Zakon tuła się po świecie. — by wreszcie w roku 1302 osiąść na wyspie Rodos, odebranej Muzułmanom. Wówczas też Zakon zmienia nazwę z Joanitów na Kawalerów Rodyjskich.

Ale i na Rodos niezbyt długo zagrzała miejsca: w roku 1522, mimo bohaterskiej obrony, skutkiem haniebnej zdrady, zmuszeni są kapitulować przed przeważającą potęgą turecką. I znów zaczyna się wędrówka po świecie: członkowie Zakonu rozprószyli się po całych Włoszech, — aż wreszcie w roku 1530 cesarz Karol V oddaje im we władanie wyspę Malte, która odtąd stała się potężnym bastionem chrystjanizmu w walce z niewiernymi i ogniskiem kultury artystycznej i umysłowej.

Kawalerowie Rodyjscy nazywają się też odtąd Kawalerami Maltańskimi, która to nazwa utrzymuje się dotychczas.

Okres pobytu na Malcie, — to okres najwyższego równocześnie rozkwitu Zakonu, który z czasem staje się prawdziwą potęgą.

Wielki mistrz Zakonu, nazywany dotychczas w bullach papieskich „pokornym mistrzem szpitala św. Jana i stróżem wiernych Chrystusowych”, otrzymuje od papieża Urbana VIII. tytuł „najdostojniejszej wysokości”, a ambasadorzy Zakonu na dworach panujących traktowani są na równi z ambasadorami królewskimi.

Wojny napoleońskie dopiero kładą kres panowaniu Zakonu. Z początkiem swej kampanji w Egipcie Napoleon zajmuje Malte, — którą jednak Francuzi po dwóch latach zmuszeni są wydać Anglii. Wprawdzie traktat w Amiens (r. 1802) przewidywał restytucję Malty zakonowi, — ale traktat ten pozostał martwą literą.

Zakon Maltański przenosi się do Petersburga, a mistrzem zostaje wybrany car Paweł I., — co wywołało liczne protesty ze strony członków Zakonu.

Po śmierci Pawła I. w roku 1801 zaczyna się znów tułaczka, siedzibą zakonu jest najpierw Messyna, potem Catania, Ferrara, a wreszcie od roku 1845 Rzym.

Przez lat 73, — od roku 1806 do 1879, zakon pozbawiony jest swego „wielkiego mistrza”, którego miejsce zajmują „namiestnicy”. Dopiero papież Leon

XIII. wskrzesza znów tę godność, mianując wielkim mistrzem Jana Ceschi a Santa Croce.

Obecny wielki mistrz, siedmdziesiąty szósty z rządu, wybrany został dnia 30 maja 1931, po śmierci swego poprzednika hr. Thun-Hohenstein.

Zakon rycerzy maltańskich obejmuje rozmaite grupy członków. Na najwyższym szczeblu hierarchji stoją tzw. „fratres milites”, którzy składać muszą potrójne śluby czystości, ubóstwa i posłuszeństwa. Oni też zajmują najwyższe stanowiska w zakonie — i z ich grona wychodzi zawsze „wielki mistrz”, — który korzysta z wyjątkowego przywileju: w kaplicy papieskiej ma prawo zasiadać razem z kardynałami - djakonami.

Zakon maltański ma też swoje odrębne przedstawicielstwo dyplomatyczne przy Stolicy świętej.

Inne grupy członków: Kawalerowie, rycerze honorowi, damy honorowe, rekrutują się z pośród najwyższej arystokracji całego świata. Zasadniczym warunkiem dostania się do zakonu jest wyznanie rzymsko-katolickie i... drzewo genealogiczne, sięgające do XIII wieku.

Wśród członków zakonu spotyka się nazwiska rodzin panujących, książąt, wybitnych mężów stanu; obecny wielki mistrz wywodzi się z rodziny papieża Aleksandra VII.

Za dawnych czasów zakon obejmował 8 odrębnych grup, zwanych prowincjami: Francja, Włochy, Anglja, Niemcy, Aragonja, Kastylja, Owernja i Prowan-

cja. Każda z tych grup miała na Malcie swój własny pałac.

Obecnie istnieją tylko dwie grupy, czyli prioryaty: grupa włoska, obejmująca Rzym, Lombardję, Sycylję i Wenecję, — oraz grupa czeska. Pozatem istnieją odrębne związki Kawalerów maltańskich we Włoszech, Hiszpanji, Niemczech, Anglii i Francji.

Działalność zakonu przechodziła liczne ewolucje, dostosowując się każdorazowo do zmienionych warunków politycznych.

Zgodnie jednak z założeniem była to zawsze w pierwszej linii akcja charytatywna: zakładanie ambulatorjów, przytułków, domów zdrowia, opieka nad biedną młodzieżą, szpitale i szkoła dla starców.

Zwłaszcza chętnie i wydatnie spieszy Zakon z pomocą na wypadek wojny lub jakichś wielkich klęsk żywiołowych. W czasie ostatniej wielkiej wojny światowej Zakon wyekwipował kompletnie jedenaście pociągów sanitarnych, niosąc pomoc chorym i rannym bez różnicy wyznania i narodowości.

Działalnością swą dają też kawalerowie maltańscy wymowny dowód, że instytucja ta, licząca sobie blisko tysiąc lat istnienia, — nie przeżyła się, nie skostniała w suchych formalnościach i ceremonjach, — lecz potrafi w każdej okoliczności pracować z pożytkiem, w myśl wzniosłych zasad swego założyciela.

(R.)

Skandynawja śpi

Do Sztokholmu należy dojeżdżać morzem, bo wtedy nawet bardzo wysokie koszty przejazdu zostają szybko zamortyzowane zachwytem nad pięknem fiordu, stanowiącego długi pięciokilometrowy wjazd do portu. Wąskie skalne przesmyki, rozwierające się w duże, spokojne jeziora, skaliste wyspy, latarnie morskie różnych miar i fasonów, kolekcje brązowych domków z białym obrzeżem okien, a przed każdym koniecznie wysoki maszt, na który w czasie pobytu właściciela wyjeżdża wielka niebieska flaga z żółtym krzyżem. Ot przyzwyczajenie dawnych morskich włóczęgów, nawet z podwórza domu robiących złudę pokładu. Dalej komplety joli, słupów, motorówek, jachtów i wszelkiej hałastry morskiej stanowią menu, które wygodnie leżący etranger może spokojnie konsumować, zwłaszcza, że podróż morska zwykle znakomicie predestynuje go do tego stanu.

Wreszcie otwiera się przed oczyma widok na wspaniałą port i leżące na wielu wyspach i półwyspach miasto. Jak wszędzie, tak i tutaj bliski kontakt morza z lądem obdarza to drugie masą

śmięci i papierów, wśród których mewy imitują znośnie nasze gęsi i kaczki. Przybijamy do mola i spełniamy zwykły w tych wypadkach obrzęd: pokazuję papiery, paszport, walizki — ot jakby trzy miliony szwedów z niecierpliwością od lat na ten moment czekały. A potem idę spać, bacząc, by dawkowanie zachwytu nie przekroczyło miary i bym mógł być stale w pełnej gotowości do przyjmowania wrażeń, pożerających i tak grube pieniądze.

Sztokholm ma ze wszystkich miast, pretendujących do miana północnej Wenecji, najwięcej danych, chociaż kanały jego zapachem swym nie przypominają miasta dołów. Brak gondoljerów zastępują wodne taksówki, a gołębie można też znaleźć od biedy. Wenecję przypomina jeszcze wspaniałą ratusz — czegoż on zresztą nie przypomina?

Jest to budowla naprawdę wspaniała — do tego stopnia, że robi wrażenie na laiku i zmusza do ciągłych „Wunderschön” i „Magnifique”. Z Polaków było nas dwóch, ja i król Jan Kazimierz, którego odnalazłem w jakiejś wniece, gdzie szwedzki Karol Gustaw znecał się nad

nim deptając mu z zadowoleniem po brzuchu.

Lecz o ratuszu można i należy mówić poważnie. Trudno znaleźć określenie dla jego stylu. Jest przedziwnym i harmonijnym konglomeratem elementów, których ojczyzną są wszystkie wieki i kraje Europy. Dorobek artystyczny dwóch tysięcy lat stał się podatnym materiałem w rękach projektodawców i wykonawców. Uderza analogia z kościołem świętego Marka, tak samo jednolitą i wspaniałą symfonią różnorodnych i obcych sobie elementów.

Mury z czerwonej surowej cegły, jak w nadwiślańskim gotyku, otaczają czworokątne podwórze. Z boku przytyka doń wieża o zbieżnych w górze krawędziach, wyglądająca, jak pylon egipski pod złotą koronkową czapą dachu. Od strony morza masyw budynku spoczywa na filarach, podcieniami swemi przypominając pałac Dołów. Z podwórza wchodzi się do ogromnej sali-holu — o posadzce z mozaiki — marmurowej o dominującej barwie szmaragdu. Surowe ściany, wsparte na białych, bizantyńskich kolumnkach, wiodą oczy pod

pułap, wokół którego biegnie maurytańska mozaika kamiennej koronki ram okien.

Za ciceronem, istnym poliglotą, przechodzę kompleks sal, salonów, kancelaryj, w których każdy szczegół od fresków do karafki jest skończeniem artystycznym. Gobeliny, wytworne meble, stare obrazy i nowoczesne zdobycze techniki defilują przed oczyma w spokojnej harmonii. Aż dziw, jak tyle artystycznej pasji mieści się w tych spokojnych blondynach. Wreszcie wchodzimy do olbrzymiej mrocznej sali reprezentacyjnej, całej wyłożonej barwną bizantyjską mozaiką. Na złotym tle, nadającym całej ścianie hieratyczne piętno, jak Budda z Anghor, siedzi z rozchyłonymi nogami któryś z królów szwedzkich i patrzy szklanym okiem w przeciwną ścianę, na uśmiechającą się doń równie olbrzymią damę. Sufit, ściany, wszystko złote; w bocznych niszach królowie pomniejszej rangi, wśród nich odkrywamy króla Zygmunta III. Jedyny rodak, wzruszające spotkanie. Tłumacze odzwierciedlają cały nietakt i nie-

slusność tego rodzaju ujęcia artystycznego, na co on odpowiada ze zrozumieniem tematu, że owszem wkrótce zamknie sale.

Wychodzę na taras nad morzem: białe płyty ścieżki angielską modłą osadzone w trawie wiodą mnie do ławy i stóp nagich posągów. Z boku stoi jakby żywcem z Warszawy przeniesiona kolumna Zygmunta, na której żeglarz jakowyś dzierży w złotej ręce takież ster.

Wyczerpał się rozporządzałny kontyngent zachwytu. Idą do miasta.

A miasto pełne zgiełku, szalonego ruchu. 20.000 aut, 600.000 ludzi, 200.000 rowerów i 2 zaprzęgi końskie — wszystko to przewala się jezdniami asfaltowymi, przeskakuje mostami — liczne kanały, wikła się, płata, huczy, słuchając jednego pana, wielokolorowych lampek i sygnałów. Ulica czysta, szeroka, bogata, pozbawiona budek inwalidzkich, żebraków, handlarzy ulicznych, przypomina na każdym kroku, że kraj ten nie brał udziału w wojnie, lecz spokojnie handlo-

wał i robił kokosowe interesy na dostawach dla obu stron walczących. Od stu lat armia lądowa całą swą siłę i sprawność wojenną prezentuje codziennie na uroczystej zmianie warty w pałacu królewskim „Kungl. Slattel”. Przy dźwiękach muzyki paraduje w granatowych mundurach i czapkach, żywo dawna c. k. armię przypominających.

Ludność piękna, wysmukła, jasnowłosa, czysty typ nordyczny, potomkowie Normanów. Niegdyś przez wiele wieków łodzie tych szalonych w odwadze żeglarzy i wojowników, świetnych organizatorów, podbijały ludy starego, a nawet na długo przed Kolumbem złożyły parokrotnie wizyte, ludom nowego świata. Dziś z tradycji zostało zamilowanie do stroju żeglarskiego. Co drugi gentleman ma białe ineksprymable i czapkę jachtklubu. Policjant ubrany w długi granatowy surdut z szablą o złotej gardzie i w białej czapce wygląda, jak co najmniej admirał, bileter w kinie ma na czapce i rękawach odznaki komandora, a motorowy w tramwaju w białych spodniach i w czarnym motylku zda się

być właścicielem jachtu. Nawet małe berbecie są — biało granatowe.

Jest coś tragicznego w zamarcu prężności woli, tendencji do podbojów, żądzy przygód tego, lat temu tysiąc, najbardziej ekspansywnego i aktywnego z pośród narodów świata. Naród ten najcenniejsze swoje jednostki wysłał niegdyś na dalekie podboje, stworzył one arystokrację w szeregu państw europejskich i zasymilowały się zupełnie. Ojczyzna, pozbawiona takich ludzi, zamarła i z ekspansywnej formy życia — przeszła do wegetatywnej. Historia się powtarza, tak zamarła przedtem Grecja, tak znikła później potęga Rzymu, Hiszpanji.

Dziś pozostał sport. Naród, którego król jest najlepszym tenisistą i to nie tylko pomiędzy królami, wyżywa swe kompleksy na morzu, w górach i na boiskach.

Mit wielkich sportowców... mit Greta Garbo... i Kreugera, zastąpił mit wikingów.

Skandynawja zasnęła...

ZBIGNIEW SCHNEIGERT

Bernard Shaw okrutnikiem

Do okazałej ilości książek o Bernardzie Shaw przybyła jeszcze jedna, ogłoszona niedawno przez R. F. Rattray'a. Autor nazwał ją „kroniką i wstępem” (*Bernard Shaw: A Chronicle and an Introduction*). Jest to suchy naogół przegląd faktów z życia Shaw'a, z rzadka tylko uzupełniany uwagami Rattray'a. Na tem jednak właśnie polega wartość biografii. O wielkim komedjopisarzu pisali dotychczas prawie wyłącznie jego towarzysze partyjni. Krytyka ich była zwykle bezkrytyczna, a nieraz stawali się prosto panegirystami. Francuz Hamon już w tytule nazwał Shaw'a Molièrem XX wieku. Tymczasem u Rattray'a nie widać takiej tendencji, nie przemilcza on wcale rysów ujemnych.

Jednym z nich jest niewątpliwie złośliwość, przybierająca czasem rozmiary okrucieństwa, a nie szanująca ani nieszczęścia, ani śmierci. Oto dwa epizody, które przytacza Rattray:

Amerykański aktor Arnold Daly, którego Shaw nie lubił jako pijaka, pada ofiarą pożaru. Komedjopisarz wysyła do jednego z jego przyjaciół kablagram, stanowiący rodzaj kondolencji: „Niepodobna nie zainteresować się niezwykłą śmiercią biednego Dally'ego. Wypadki zapalenia się w kimś wódki są tak rzadkie”.

Przybywa do Anglii sławna Helena Keller, która będąc ślepą i głuchoniemą zdołała osiągnąć wysokie wykształcenie i napisała znaną autobiografię. Spotykają się w pewnym domu i prowadzą rodzaj rozmowy. Shaw aplikuje Miss Keller różne złośliwości. Obecna przy tem lady Astor zwraca mu uwagę, że to nieładnie: „Czy pan nie zdaje sobie sprawy, że Miss Keller jest niewidoma, głucha i niema?” — „Jak wszyscy Amerykanie”, — odpowiada Shaw.

Rattray rozmawiał o „okrucieństwie” komedjopisarza z pewnym Irlandczykiem, który uznał je za rys narcadowy. „Nic na to nie możemy poradzić”, zakonkludował. Zapomniał jednak, że Shaw pochodzi z rodziny angielskiej.

Niepodobna zaprzeczyć, że zarzut jest słuszny. Nasuwa się porównanie z innym wielkim satyrykiem, Swiftem, który słynął z drapieżnej złośliwości. Jeden z jego biografów zestawiał jego sady o kilkudziesięciu współczesnych, — wszyscy wyszli jako lajdaki lub

głupcy. Sławnym był żart, który spłatał Swift, niejakiemu Partridge'owi. Był to szarlatan, wydający corocznie kalendarze z przepowiedniami. Rozgniewany, że ludzie nie tylko kupują te bzdury, ale im wierzą, satyryk wydał „Przepowiednie na rok 1708”. Prócz różnych politycznych sensacji, jak zgon Ludwika XIV, z którym Anglja była w wojnie i zrzeczenie się praw do korony polskiej przez Augusta Mocnego, wróżył tu zgon Partridge'a, napominając go, aby uregulował swe sprawy. Przyczyną będzie febra, a autor kalendarzy skończy dokładnie o 11 w nocy 29 marca 1708 r. 30 marca wyszła z druku broszura, opisująca ten smutny wypadek. Izaak Bickerstaff — bo pod tym pseudonimem wystąpił Swift — przyznawał się tu, że zabawił się we wróżbitę bez żadnych danych, idąc za przykładem Partridge'a, ale przypadkowo trafił. Pomylił się tylko o cztery godziny, bo śmierć nastąpiła o 7-ej minut 5. Partridge wybuchnął oburzeniem w kalendarzu na r. 1709 i uroczyście zapowiedział, że żyje. Swift odpowiedział „Obroną Bickerstaffa”, w której tak udowodnił śmierć Partridge'a: Około tysiąca ludzi czytuje jego kalendarze i wszyscy zgadzają się, że jeszcze żaden żywy człowiek takich głupstw nie popisał. Jeżeli więc jakiś nieboszczyk chodzi po świecie i używa nazwiska Partridge, Bickerstaff za to nie może być odpowiedzialny. I truposz ten nie miał prawa bić chłopca, sprzedającego broszurę o zgonie doktora Partridge'a.

Wróćmy jednak do Shaw'a. Zdawałoby się, że jako socjalista i humanistarysta będzie on wrogiem kary śmierci. Otóż tylko kary, ale nie śmierci. W „Cezarze i Kleopatrze” pyta się ktoś Cezara, czy gdyby spotkał na pustyni lwa, nie ukarałby go za jego krwiożerość i drapieżność. — Nie — brzmi odpowiedź, — prosto zabiłbym go dla własnego bezpieczeństwa. — Sztuka mieści epizod, będący ilustracją tego dialogu.

W innych dramatach i przedmowach Shaw'apowtarza się ta myśl bardzo często. Ludzie nie mają prawa karać, natomiast wolno im zawsze usunąć szkodliwą jednostkę. Fantazja dramatyczna „Z powrotem do Maturzala” przedstawia idealne społeczeństwo nadludzi, obok którego żyją zwykli śmiertelnicy. Nadludzie traktują ich bardzo surowo i myślą o ich wytepieniu. Uważają, iż mają do tego prawo, gdyż dzięki długowieczności

posiedli wyższą wiedzę i wyższą moralność.

Ale jakże ma być w zwyczajnym społeczeństwie, gdzie niema nadludzi? Jak tu sprawdzić, kto jest szkodliwą jednostką, zasługującą na unicestwienie? Shaw przyznaje społeczeństwu, rządowi, a obecnie dyktatorowi swobodę decyzji. Ani nie spostrzegł się, jak doszedł prosto do kultu siły. Coś zupełnie podobnego zdarzyło się Carlyle'owi — ostatecznie kult nadludzi jest bardzo zbliżony do kultu bohaterów.

Do jakich rzecz prowadzi konsekwencji łatwo wykazać na skromnym cytacie. Shaw wydał niedawno trzy swoje ostatnie sztuki (z tego jedna jeszcze nie grana), jak zwykle z obszernymi przedmowami. — Czytamy tam, że Żydzi mieli takie samo prawo wykorzystania zpośród siebie Jezusa (dla Shaw'a nie jest on Chrystusem), jak dwóch ukrzyżowanych z nim łotrów. „Nie było jednak prawa, ani sensu go męczyć. Należała mu się bezbolesna śmierć Sokratesa”.

Pomiędzy oburzenie, jakie to bluźnierstwo budzi w wierzącym chrześcijaninie, i stał się na stanowisku samego Shaw'a, który Jezusa uważa za nadczołowieka, głoszącego nowe prawdy. Więc człowiek taki ma być zgładzony, ponieważ faryzeusze uważają go za szkodliwego? Coby też przy przyjęciu takich zasad spotkało samego Shaw'a, który ustawicznie uderza w istniejący porządek społeczny? Ale w jednej z przedmów tej samej książki spotykamy, jak stwierdził znany krytyk i pisarz dramatyczny St. John Ervine, dialog między Jezusem a Piątem, wprowadzony dla wyrażenia myśli wprost przeciwnej, która dałaby się krótko wyrazić słowami Mickiewicza „Biada ludom, co swoje krzyżują proroki”.

W ewolucji poglądów Shaw'a należy rozróżnić trzy okresy. Wiecznie miał on plany uszczęśliwienia ludzkości przez wprowadzenie ustroju socjalistycznego. Początkowo wierzył, że jest to możliwe w dzisiejszych warunkach. Zorientował się jednak, że się myli. Stracił wiarę w dobro natury ludzkiej. Wówczas uznał, że trze-

ba wyprodukować nadczołowieka. To było drugie stadium. W trzecim zaczęli mu się już w dzisiejszym świecie przywidywać nadludzie. Zaintrygowany eksperymentami Lenina i Mussoliniego, zaczął Shaw uprawiać kult jednostek, które uważa za nadludzi, i stał się zwolennikiem dyktatury — niekoniecznie nawet socjalistycznej. — Wyjątkowym jednostkom wolno wedle niego dążyć do zamierzonej przebudowy społeczeństwa wszelkimi środkami i bez skrupułów usuwać ludzi, stojących na przeszkodzie. W tym wypadku nie obowiązują ani prawa moralne, ani uczucia humanitarne.

Na taką teorię dał już dawno odpowiedź Dostojewski w „Wnie i karcze”, gdzie Raskolnikow uważa się za nadczołowieka, wyższego nad prawa moralne, — i popełnia morderstwo rabunkowe. Jednostka nie ma prawa wyrokować o wartości własnej i własnych zamierzeń, ani wyłączać się z podziałania praw moralnych. Przeciwny punkt widzenia prowadzi do zbrodni.

Zdawszy sobie sprawę z tego rozwoju poglądów Shaw'a, możemy wrócić do owych dwóch drobnych epizodów, opowiedzianych przez Rattray'a i odpowiedzieć na pytanie, skąd wzięło się „okrucieństwo”. Źródłem jego było doktrynerstwo, wzmocnione przeświadczeniem o własnej nieomylności, i przekora, dyktująca Shaw'owi zawsze coś, co drugich oburza.

Od lat kilkudziesięciu pije on tylko wodę i nienawidzi pijaków; nienawidzi Amerykanów. W jednym i drugim wypadku powodem antypatii jest doktryna, zresztą starannie dorobiona do uczuć nabytych w dzieciństwie i młodości. Mając ojca pijaka, Shaw wiecznie myślał o problemie alkoholizmu i bardzo wyolbrzymił jego znaczenie. Co do Amerykanów przejął się rozpozszechnionem w Anglii uprzedzeniem. Zresztą niecierpi u nich pewności siebie, bo sam się nią odznacza, a gdzie zejda się dwie pewności siebie, tam pewna awantura. I tu dorobił sobie uzasadnienie rozumowe czyli doktryne. Gdzie zaś hołduje doktrynie, tam nie uszanuje niczego — ani uczuć innych ludzi (n. p. uczuć religijnych), ani śmierci, ani kalectwa.

Będzie w takich wypadkach w słowach złośliwy aż do okrucieństwa. — Czyby potrafił być okrutnym w czynach, to zupełnie inna sprawa. Chyba nie.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

Dumouriez i de Choisy

(Z historii konfederacji barskiej)

Początek roku 1772 przyniósł konfederacji barskiej piękny sukces: W nocy z dnia 2 na 3 lutego grupa powstańców, złożona z 500 ludzi pod komendą podpułkownika Kludjusza Gabriela de Choisy zdobywa podstępem Zamek Krakowski.

Sukces ten jednak nie mógł wywrzeć większego wpływu na dalsze losy konfederacji, zwłaszcza, że samo miasto pozostawało nadal w ręku wojsk rosyjskich, pozostających pod dowództwem Suwarowa, a podejmowane przez powstańców wypadki z Zamku, celem owdzielenia miastem, skończyły się zupełnym niepowodzeniem.

Rozpoczęło się tedy oblężenie zamku przez przeważające siły rosyjskie, oceniane na 3000 ludzi, podczas gdy cała załoga zamku nie przekraczała liczby 800 ludzi, w czym około 40 oficerów francuskich.

Garść ciekawych szczegółów z tego oblężenia przynoszą artykuły zamieszczane przez kilka tygodni w paryskim dzienniku „Excelsior”. Autorem tych artykułów jest hr. de Bondy, w którego ręku znalazły się liczne listy i dokumenty z tego okresu czasu.

listy i dokumenty z tego okresu czasu, sownym do barona de Vioménil, swego przełożonego, donosi de Choisy o odparciu gwałtownego ataku wojsk rosyjskich, przyczem obrońcy oddali 388 strzałów armatnich i 30000 strzałów z broni palnej.

W dopisku dodaje co następuje:

„Nie mówię nic o naszych potrzebach, bo i tak nie na to poradzić nie można, ale wkrótce już twarze nam się porządnie wydłużą: jeżeli w ciągu 8 dni nie nastąpi żadna zmiana, każde wybić wszystkie nasze konie, żołnierze domagają się tego. Od czasu jak tu jesteśmy nie mieli ani mięsa, ani masła, ani tłuszczu. Suchy chleb, kasza i odwaga, to całe i jedyne pożywienie oficerów i żołnierzy.

Mam dużo chorych; nasi ranni i nadal dobrze się trzymają. Suwarow odmówił mi lekarstw, o które go prosiłem...

W Krakowie mówią głośno, że za dwa dni znowu zostanie zaatakowany. Mimo tej groźby, mimo naszych braków i strat w oficerach, zapewniam, że nie zaniebdam niczego, by nie pozwolić Rosjanom na ponowne owdzielenie zamkiem, który już ich kosztował tyle trudu i krwi, a którego utrzymanie przedstawia dla Konfederacji tak wielki interes”.

Oblężenie trwa dalej; wśród załogi szerzą się choroby, głód i dezercja. Bardzo dotkliwie daje się wszystkim we znaki brak czystej bielizny: każdy z załogi ma tylko jedną jedyną koszulę na sobie, co naturalnie sprzyja gwałtownemu rozmnażaniu się robactwa.

W przeddzień 1 kwietnia de Choisy wydaje wspaniałą ucztę: na menu składają się pieczeń końska i pasztecik z combra... kota, siedmiu wron i ośmdziesięciu wróbli! Były to prawdziwe specjalty dla żołnierza, którego cały wikt dzienny składał się z cienkiej zupki owsianej, porcji chleba i kawałka końskiego mięsa.

Zbliżają się święta Wielkanocne. Na Wielki Tydzień klerycy, którzy musieli razem z całą cywilną ludnością pracować przy umacnianiu fortyfikacji, mieleniu zboża, opatrywaniu rannych, dostają pięciodniowy „urlop”, celem odbycia przepisowych liturgicznych modłów i obrządków; muszą się jednak obywać bez świec, które już dawno niegły „rekwizycją”.

W pierwszy dzień świąt mogą się za to uraczyć kielbasami i szynką... z końskiego mięsa.

Oblężeni, zdani zupełnie na własne siły, napróżno starają się wielokrotnie nawiązać jakąkolwiek komunikację ze światem, napróżno wyczekują nadejścia posiłków lub odsieczy.

Pod datą 21 kwietnia pisze de Choisy, komendant zamku:

„Nie mamy żadnych zgoda wiadomości od naszych ludzi, co wydaje się nam rzeczą niepojętą; ale bez wątpienia widocznie nie może być inaczej...”

Nieprzyjaciel zrobił drugi wylom... w murach katedry, ponad popiołami królów Polski. Katedra ta, jedna z najwspanialszych, może być lada moment zburzona, a wszystkim jej skarbowi, składającym się ze świętych relikwiarzy, sprzętów kościelnych i przyborów koronacyjnych, grozi rabunek. Ja osobiście czuję się dobrze; w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin powinno zejść coś nowego”.

Następnego zaś dnia, o 3 popołudniu pisze krótko:

„Wobec dwóch wylomów, ogólnego braku skałek do karabinów i wzmocnienia ciężkiej artylerji nieprzyjaciela — zmuszeni jesteśmy kapitulować.

Jako leńcy wojenni zachowujemy cały nasz ekwipunek... Mamy zostać odstawieni do Lwowa, aż do dalszych rozkazów”.

Tak oto zakończył się ten epizod, o którym swym czytelnikom francuskim opowiada obecnie hr. de Bondy, nie szczędząc pochwał dla samego de Choisy i dla garstki oficerów francuskich, zamkniętej w oblężonym Zamku.

Natomiast bardzo krytycznie i uszczypliwie wyraża się o samych „konfederatach”, opierając się w tym względzie na opisach generała Dumourieza, który pisze o „azjatyckich obyczajach, zdumiewającym zbytku, szalonych wydatkach i ucztach dowódców, których jedynym zajęciem był faraon i taniec”.

Hr. de Bondy korzysta z tej sposobności, by nakreślić równocześnie

sylwetkę dzisiejszego polskiego magnata: „jest to człowiek zawsze zachwycający, który, o ile nie znęca się nad fortepianem, opowiada z fantazją w sposób dystyngowany różne historyjki prawdziwe i zmyśnione, wszystkie jednak rozkoszne. To człowiek nieznajomy, który jadąc ekspressem, opowiada ci całe swe życie, zmartwienia i trwogę jego żony z powodu przebranej w bakarata, który na którejś stacji wysiada, by za 50 franków kupić kwiaty dla towarzyszącej ci kobiety, wręcza ci swój bilet wizytowy z adresem swym w Warszawie i w Paryżu — i na dworcu Północnym rozstaje się z tobą z żalem. I na tem się kończy cała znajomość”.

Konfederacja Barska odbiła się głośnym echem o spokojny zakątek Suszyczyny, o czem świadczą zapiski tamtejszych parafii, groby konfederatów i liczne pomniki.

Zamek Lanckoroński jako fortyfikacja choć zniszczona przez Szwedów w 1656 r., stanowił dla konfederatów barskich dosyć silną jeszcze twierdzę obronną dla walki partyzanckiej. Załoga konfederatów barskich na zamku Lanckorońskim liczyła 1200 ludzi z dywizji, województwa Bełzkiego. Niedostępność zamku, leśna ochrona i sama twierdza lanckorońska sprawiała, że konfederaci barscy czuli się tutaj zupełnie bezpieczni.

Rosjanie chąc zmusić ich głodem do poddania się, rozpuszczali po okolicy Kalwarii, Wadowic i Suchej wieści, że „konfederaci barscy są bandą rabusiów uzbrojonych, którzy rabują kościoły, dwory i wsie polskie. „Król Polski nie może im dać rady, dlatego Rosja na jego prośbę przybyła mu na pomoc”. Te fałszywe wieści napępiały lekko ludność polską, nawet duchowieństwo, które w obawie przed możliwością rabunku przez konfederatów „ukrywało sprzęty kościelne w grobowcach, zaś lud wiejski żywność i bydło w lasach”. Wobec takich nastrojów byt i walka z najeźdźcą

rosyjskim była bardzo ciężką i nierokującą pomyślnego wyniku.

Klęskę załogi konfederatów w Lanckoronie spowodował generał francuski Dumouriez. Karol Franciszek Dumouriez, generał, minister, agent i organizator wojskowy z ramienia Ludwika XV, króla Francji, przysłany do Polski w czasie trwania konfederacji barskiej, więcej pilnował „tajnej polityki wschodniej” w myśl instrukcji ówczesnego posła hr. Brogliego, niż zorganizowania akcji bojowej konfederacji. Swem obejściem, wyniosłością, żądaniem bezwzględnej dyscypliny i posłuszeństwa dla swej osoby zniechęcił do siebie najwyższą władzę konfederacji „Generalicję”.

Dumouriez, mając zbyt wielkie obrażenie o swych zdolnościach strategicznych, objawszy komendę 1200 konfederatów lanckorońskich wyprowadził ich ze stanowiska obronnego zamku i uderzył na 5600 regularnego i dobrze uzbrojonego wojska rosyjskiego. Po pół godzinnej walce wojska konfederatów zostały prawie w pień wybite. Nieliczne resztki z Dumouriezem schroniły się do Suchej i Mucharza.

W Suchej rozbili obóz od strony Zawoju, zaś Dumouriez zamieszkał w gościnie na zamku hr. Wielopolskich. Tutaj po kilku tygodniach swego pobytu, po porozumieniu się z rządem francuskim złożył naczelne dowództwo i niepowrotnie opuścił Polskę. Wyczerpane zaś fizycznie i moralnie niepowodzeniem robotki konfederatów barskich wskutek szerzących się chorób, coraz bardziej topniały, zdane na litość okolicznych wsi i dworów.

Według ksiąg parafii suskiej, spoczywają na cmentarzu suskim (po lewej stronie przy wejściu około złamanej lipy) zwłoki konfederatów: Jakuba Dąbrowskiego z Kielc, Jakuba Preyssa, Antoniego Myszyńskiego, Macieja Wowerski, Kajejan Sapehy i wielu innych. W podziemiach zaś kościoła w Mucharzu zwłoki Karola Chomicza, chorążego (dirigens fortalitium Lanckorona) zmarłego 17 czerwca 1771 r. Tak zakończył swą misję wojskowo-dyplomatyczną generał francuski Dumouriez na zamku w Suchej.

(k. r.)

Ze świata książki

„ŚWIAT I ŻYCIE”, tom II zeszyt III (wyd. Książnica-Atlas, Lwów). Jeden to z najciekawszych zeszytów tej, wydawanej już od półtora roku oryginalnej encyklopedji. Tak się bowiem złożyło, że w alfabetycznym porządku znalazły w nim pomieszczenie tematy tak aktualne i doniosłe, jak Europa i jej kultura, faszyzm, feudalizm i feminizm, wszystkie opracowane doskonale, przez wybitnych fachowców. — Zwłaszcza artykuł prof. Łempickiego o kulturze europejskiej, jej znaczeniu i przyszłości otwiera przed młodocianym czytelnikiem szerokie horyzonty. Artykuł o faszyzmie — obok trafnej ujęcia odznacza się dużą obiektywnością.

Monografie poszczególnych gałęzi wiedzy (filologia, fizyka, fizjologia, filozofja), zwięzłe, a przejrzyste, przynoszą w krótkich zarysach szereg podstawowych wiadomości i informacji.

W świat sztuki wprowadza czytelników piękny artykuł o Florencji, uzupełniony doskonałymi, a odpowiednio dobranymi ilustracjami, a wreszcie obszerna (może nawet nadto obszerna w stosunku do tematu) rozprawka o filmie dopełnia całości.

Warto też zwrócić uwagę, że wydawnictwo, pragnąc umożliwić jaknajszerszym warstwom nabywanie tej

encyklopedji, przyznaje zarówno samej młodzieży szkolnej, jak i nauczycielstwu i instytucjom szkolnym bardzo wydatne zniżki, dochodzące do 37,5 proc. od normalnych cen sprzedaży.

Jest to redukcja naprawdę bardzo wydatna, wyrażająca się ceną zł. 30 za cały rocznik (względnie zł. 150 za całość składającą się z pięciu tomów). Porównując cenę tę z cenami zagranicznych encyklopedji czy leksykonów, dochodzimy do wniosku, że „Świat i życie” wytrzymuje zwycięsko wszelką konkurencję, a bije wszystkie podobne wydawnictwa doskonałą szatą zewnętrzną, wspaniałymi ilustracjami i bardzo wartościową treścią, podaną we formie zupełnie oryginalnej.

Z nowych wydawnictw

„Przegląd polsko-jugosłowiański”, miesięcznik poświęcony sprawom zbliżenia kulturalnego i gospodarczego obu narodów. Świeżo pojawił się pierwszy numer tego wydawnictwa, redagowanego w Poznaniu (aleja Marcinkowskiego 3), a wydawanego przez Stowarzyszenie polsko-jugosłowiańskie w Poznaniu.

Obok wiadomości lokalnych zawiera ten pierwszy numer szereg interesujących

informacji o Jugosławji jako terenie turystycznym, dalej o tamtejszych strojach ludowych, o historii nowego państwa serbskiego, — a wreszcie dobry przekład wiersza J. Ducica i wiadomości bieżące. Wydawnictwo, narazie zakrojone na dość skromną miarę, redagowane bardzo starannie, zasługuje na jaknajszersze poparcie.

„Przegląd literacki”, tygodnik literacko-artystyczny (Katowice). Trudno wyrobić sobie zdanie o wartości i kierunku tego tygodnika na podstawie I. numeru, zawierającego treść dość różnorodną i niejednaką wartościową. Obok poezji Zygadłowicza — Tuwima, obok noweli Żelachowskiego — artykuł Adolfa Dickera o G. Apollinaire. Szata zewnętrzna nieszczególna, korekta licha. Należałoby też zwrócić baczniejszą uwagę na ortografię: w polskim języku n.ema imienia „Kazimir”, lecz tylko „Kazimierz”. „Przyczyny powodzenia się”, to dziwoląg językowy, niedopuszczalny w piśmie poświęconem „sprawom literatury i sztuki”. Wysoka stosunkowo cena (60 groszy) nie działa również zbyt zachęcająco.

(k. r.)

Krzyż tęczowy w katedrze lwowskiej

Co to jest „tęcza“ w kościele polskim i co to jest krzyż tęczowy, mało kto wie o tem, szczególnie we Lwowie, ponieważ dzisiaj właściwie niema u nas ani jednego kościoła, gdzieby można komu pokazać naocznie, jak się dwa owe szczegóły przedstawiają. W Krakowie Kościół Marjacki i Kościół Franciszkanów zachowały po dziś dzień belkę tęczową z Bożą Męką.

A jednak Katedra lwowska miała we wnętrzu swoim ozdoby, którą możnaby ocenić jako najpiękniejszą i najwznioślejszą w Polsce. Więc dlaczegoż to tak wszystko zaginęło bez śladu i bez wspomnienia?...

Bo przeważały z czasem inne czynniki obce nad pierwiastkami miejscowymi i rodzimymi. U nas często to się powtarza, że ginąć musi, co domowe, choć odwieczne, aby przyszło nowe, co dopiero wczoraj uderzyło od zachodu.

Wedle zapisków, które zebrał M. hr. Dzieduszycki (Kościół Katedralny lwowski 1872), w r. 1473 sprowadzono z Krakowa krzyż wielki z „Bożomęką“ (Krucyfik), który musiał być połączony z rzeźbami M. Boskiej i Ś-go Jana. Arcybiskup ówczesny, sławny Grzegorz z Sanoka, poświęcił zapewne bardzo uroczyście te trzy arcydzieła, które umieszczono wysoko na belce tęczowej pod łękiem sklepiennym, dzielącym nawę główną od części kapłańskiej czyli presbiterjum. Rzecz wielce ciekawa, że postawienie krzyża tęczowego w Krakowie, w Kościele Marjackim, wiąże się również z rokiem 1473, co pozwala na przypuszczenie bardzo poważne, wedle którego jak krakowska Bożomęka tak i lwowska wyszła prawie jednocześnie z pracowni Wita Stwosza, Krakowianina. Arcybiskup Grzegorz z Sanoka miał Jana Długosza za przyjaciela, a zatem dziejopis nasz mógł być pośrednikiem między arcybiskupem lwowskim a arcybiskupem krakowskim. Na podstawie tej można przyjąć, że obydwa dzieła, krzyż tęczowy krakowski i krzyż tęczowy lwowski, to utwory należące do prac najwcześniejszych Wita Stwosza. Zabytek krakowski do dziś dnia jest ozdobą wnętrza Kościoła Marjackiego, a zabytek lwowski z końcem wieku XVIII uległ naruszeniu jego powagi wiekowej. Podczas przemiany stylu gotyckiego świątyni na barokowy krzyż tęczowy zdjęto, wszystko poburzone i odtąd Katedra straciła na zawsze pamiętkę, która stanowiła jej wartość osobliwą. Szkoda to wielka. Krzyż ten z Chrystusem umieszczono potem w kaplicy prawej tak, że zajmuje miejsce w górze pomiędzy oknami, skutkiem czego na tle blasku dziennego nikt dojrzeć nie może piękna Zbawiciela Ukrzyżowanego.

Drogą taką, jak widzimy, Lwów stracił znowu jedną z piękności pomnikowych, której nie docenił i nie uszanował. A jednak godzi się przypomnieć Lwowianinowi, jaką wzniosła to pamiętkę był ten krzyż tęczowy, który za czasów Grzegorza z Sanoka i Jana Długosza wisiał na belce tęczowej, w kabląk wygiętej a to pod łękiem sklepiennym, tęczowym, jaki i dziś dźwiga góra wielki szczyt tęczowy. Wszystko wiąże się z obrazem tęczy niebieskiej, na przypomnienie przylmiera między niebem a ziemią. Krzyż tęczowy z belką tęczową wisiał we wnętrzu bardzo wysoko

dłatego widoku otwartego z nawy głównej ku ołtarzowi w. wcale nie zasłaniał.

Pan i Król świata unosił się górną w przestrzeni wysokiej i panował nad rzeszą pobożnych, ucząc rzeczy w życiu najważniejszej, aby ludzkość umiała cierpienia łączyć z poświęceniami i ofiarami. Naród garnał się do Bożomęki, z Nieba na ziemię zstępującej i nabierał mocy wewnętrznej w walkach z przeciwnościami większymi, niż gdzieindziej, bo stojąc wciąż naprzeciw nawały tatarskiej i wschodniej.

Lwów był przedmurzem Chrześcijaństwa, ponieważ bronił wiary starej w Imię Jezusa, na którego patrzył we wnętrzu Katedry z miłością nadzwyczajną, zaprawdę może gdzieindziej nieznaną.

Aż przyszedł rok 1672, kiedy to 29 września nocą rozszalały nad stolicą wschodnią wszystkie moce ziemskie i nadziemskie. Turcy walili wystrzałami, a gromy z błyskawicami i burzą szaloną w noc św. Michała Archanioła zdawały się nieść zagładę ostatnią. Lud upokorzony modlił się u stóp Zbawiciela właśnie pod jego krzyżem tęczowym, aż nagle kula 36-funtowa wpada przez okno wschodnie do wnętrza świątyni i nic nikomu nie zrobiwszy, utkwiała w posadzce pod krzyżem tęczowym.

Kulę ową zawieszono zewnątrz Katedry na przyporze od wschodu, po stronie Kaplicy Ogrojcowej i dano napis pouczający. Cud ten wielki wlał w pierś Lwowian nowe zasoby nadludzkie w walkach o Kościół polski, w którym świecił blaskiem niebiańskim Krzyż tęczowy, odtąd coraz więcej sławiony i kochany.

Popłynęły ofiary hojne i znalazło się tak wiele srebra, że trzeba było postanowić, co z niem począć.

Z końcem stulecia XVII przybyła ozdoba nowa wewnątrz Katedry. Spra-

wiono obramienie dookoła krzyża tęczowego w kształcie wielkiego serca. Po kościółkach wiejskich dziś jeszcze można natrafić na rzeźbę Bożomęki w otoczeniu rami w kształcie serca. Są to pozostałości z dawnych krzyżów tęczowych. Takim krzyżem w sercu szczyli się Kościół starożytny w Bodzętynie koło Łysogóry za Kielcami. Pamiętka zachwycająca! Na krzyżu w Bodzętynie wiszą dwie postacie Chrystusa — jedna od strony ołtarza w., druga od strony nawy głównej. Na obydwóch głowach Zbawiciela były korony cieniowe, szczerolote. Tę od ołtarza w. skradziono — dziś pozostała tylko ta od zachodu.

Krzyż tęczowy we Lwowie otrzymał jako upiększenie ramę szczerosrebrną w kształcie serca ogromnego, wewnątrz którego mieściła się Bożomęka. Rama była potężna, skoro mierzyła w szerokości samego obramienia pół łokcia a zatem 31½ ctm. Wyszło na nią 175 grzywien srebra próby jedenastej. Kościół polski promieniował poświata, która biła z krzyża tęczowego i serca ogromnego, zwłaszcza, gdy do tego ostatniego przytwierdzone były niezliczone lampy, w dzień i noc gorejące dzięki ofiarom ludu.

Ta mnogość świateł, u nas po kościołach, dawniej z lubością nadzwyczajną stosowana i tu koło Chrystusa Tęczowego tak spotęgowana, potwierdza to, co łączyło się niegdyś z pojęciem Jerolimy Słonecznej, dla której Słowacki widział w duszy polskiej ostonecznienie wieczne. To też łączyło się życie mieszczan lwowskich z tą Kalwarią polską, aby wobec Boga i wobec ludzi nagrodą za owo dążenie do ostonecznienia była w świątyni upamiętniona po wieki. Dla celu tego wyrobił się zwyczaj zawieszania pod krzyżem wizerunków Rajców najbardziej zasłużonych i Ławników

najpocześniejszych.

I gdzież to wszystko znikło? Gdzie przypadły owe piękności wnętrza Katedry lwowskiej?...

Nastał czas z falą przymusowego stosowania wszystkiego do pojęć zachodu, ażeby nie pozostało nic, co by było u nas odmienne. Powyrzucano setki pomników i nagrobków, dziesiątki ołtarzów najosobliwszych a alabastry tłuczono na mąkę dla przygotowania stiuków. Co tylko nie było związane z miazgą muru i co nie łączyło się ze sklepieniami — wszystko pod pozorem czyszczenia i odnowienia poszło na śmiecie.

Przyznać trzeba, że nad Polską zawiła w okresie rozbiorowym zawierucha niszczycielska. Do tego stopnia szła go rączka „europeizowania“ miast naszych, że dla pomóżenia zapomnienia nie myślano wcale, aby ślady jakiegokolwiek pozostać po pamiętkach świętych i narodowych.

Teraz budzi się żal za tem wszystkim, co oderwane od duszy polskiej, zaprzepaściło się w niepamięci. Ze względów na świadectwa o bogactwie twórczości naszej narodowej, podnieść można, że objawiała się w Polsce siła „kochania Boga“ samorzutnie, wedle poczucia najserdeczniejszego. Stąd my, lwowiaci, pamiętać musimy o tym krzyżu tęczowym z Katedry, ujętym w ramę na kształt serca ogromnego, ze srebra wyrzeźbionego, pełnego świateł wiecznie się jarzących dla przypomnienia światłości wiekuistej. Skoro pamiętki owej drogiej niema już w rzeczywistości, niechże świadomość nasza żywa, z zabytkiem tak wzniosłym zespolona, będzie pomnikiem na dowód, jak niesprawiedliwie posadza się zawsze Lwów o brak sztuki własnej!

Prof. dr. Jan Sas Zubrzycki
Lwów, marzec 1934.

Z czego wyrabia się lampy radiowe

Zanim fale radiowe zostaną wypróbowane jest oczywiście, że należy je najpierw w odpowiedni sposób — wytworzyć. W tem wytworzeniu potrzebna jest w najogólniejszym znaczeniu — siła elektro-motoryczna oraz metal. Cewki, kondensatory, przewodniki — wszystko jest zrobione z metalu a i siła elektro-motoryczna (z akumulatorów, ogniw, maszyn) również nie może powstać bez jego współudziału, więc wntosek, metal jest najważniejszą rzeczą w radjotechnice.

Dla dobrego wykonania lampa katodowa wymaga metalu, któryby utrzymywał nadany mu kształt bez rozszerzenia się oraz ulegania zwiększeniu przy wysokich temperaturach. Musi on pozatem łatwo być uwalnianym od zawartych (okludowanych) gazów, być dobrym przewodnikiem, chemicznie nie powinien się wiązać z ciałami aktywnymi, powinien być łatwo obrabialny i spajalny.

Jako najdoskonalsze materiały do wyrobu elektrod należą wolfram (punkt topl. 3270°K; °K stopni skali absolutnej tzw stopnie Kelvina, stopnie Kelvina = stopnie Celsjusza +273), molibden (punkt topl. 2585°K) i tantal (3170°K). Metale te posiadają wysoki punkt topliwości, zawierają stosunkowo niewielkie ilości gazów okludowanych, oraz nie podlegają łatwemu rozpyleniu. Jednakowoż ponieważ są to materiały kosztowne, istnieje dążność do zastępowania ich zawsze tam, gdzie tylko jest to możliwe, przez inne materiały, jak nikiel (punkt topl. 1720°

K), miedź a nawet żelazo (w Niemczech — podczas wojny).

Katoda zazwyczaj bywa sporządzana z drutu wolframowego, specjalnie przygotowanego, o krystalicznej strukturze. Do wyrobu bańki stosuje się szkło trudnoplliwe (np. tzw. turyngskie), oraz w większych lampach kwarc, a nawet ostatnio czyniono są próby zastosowania w tym celu metalu. Taka metalowa powłoka lampy może jednocześnie odgrywać rolę anody, dającej się z łatwością chłodzić z zewnątrz przy pomocy krążącej wody. Jednakowoż całkowicie szkło lub kwarc nie może być usunięte, gdyż zachodzi konieczność odizolowania elektrod (i doprowadzeń) między sobą.

Najpewniejsze doprowadzenia przez szkło są z platyny, jednakże stosuje się również materiały zastępcze, jako to stal miedzianą, metal „Dumet“ itp.

Z wszystkich wyżej wymienionych metali do wyrobu elektrod molibden wypełnia praktycznie wszystkie wymagania stawiane tym materiałom. Musi być tylko w bardzo czystym stanie, a wtedy daje się obrabiać, rozciągać i spajać. Jego ruda molibdenit znajduje się na całym prawie świecie, lecz największe pokłady mamy w Norwegii, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych oraz Japonii. Znany już był w starożytności przez Greków, którzy dali mu obecną nazwę, choć zdaje się, nie odróżniali go od grafitu. Jako metal został wyodrębniony przez Hjelm'a w r. 1790. Jego chemiczna obróbka od rudy aż do czystych prętów, blaszek czy drutu

jest bardzo długa i wymaga wyspecjalizowanych metalurgów. Ciekawy jest sposób robienia drutu. Najpierw z sztabki molibdenowej otrzymuje się stożkowate pręty o zmniejszającej się średnicy, które następnie rozciąga się na dłuższe druty. Wszystko to robi się w atmosferze czystego wodoru przy metalu rozgrzanym do białoci w ściśle określonych granicach temperatury. Następnie przeciąga się ten drut przez worki w diamentach, które kontroluje się co godzinę dla zachowania ściśle określonej średnicy oraz doskonałej okrągłości. Zwykle robi się ruf o średnicy od 0,1 do 0,02 mm (od jednej dziesiątej do dwóch setnych milimetra) lecz dla celów specjalnych osiągnięto średnicę dziesięć tysięcznych milimetra — mniej niż jedna szósta ludzkiego włosa! Właściwości czystego molibdenu powoduje że nadaje się on doskonale dla siatek, anod oraz podpórek lamp katodowych. Ponadto istnieje wiele stopów molibdenu, które znajdują zastosowanie w technice lamp radiowych, oraz oświetleniowych. W następnym artykule zaznajomimy czytelników z przebiegiem fabrykacji lamp radiowych zarówno nadawczych jak i odbiorczych.

K. W.

W czasie od 24 do 31 lipca 1934 odbędzie się w Zurychu IV. Międzynarodowy Kongres Radjologiczny, na którym będzie szeroko omawiane zastosowanie promieni Röntgena dla celów dajagnostycznych i leczniczych.

Trzy „literatury rosyjskie“ Aleksandra Brücknera

Znakomity uczonec, chluba nauki polskiej, dziś profesor literatur słowiańskich na uniwersytecie w Berlinie, — posiada Aleksander Brückner między innymi zasługami, położoniami na polu bogacenia dorobku i rozszerzenia horyzontów wiedzy polskiej — tę wielką zasługę, że trzema pracami swymi, poświęconymi całokształtowi dziejów literatury rosyjskiej, wypełnił dotkliwą lukę w naszym piśmiennictwie naukowym, — lukę, rzucającą się w oczy w stopniu najsilniejszym dziś właśnie, gdy z coraz to większym zainteresowaniem zaczynamy się odnosić do wszystkiego, co jest rosyjskie, co jest Rosją, co ma związek z nią, z jej kulturą, sztuką, charakterem narodowym etc. etc.

Pierwsza z tych trzech prac — dwutomowa, szczegółowa „Historja literatury rosyjskiej“ ukazała się w latach 1922—23, a więc w czasie mało odpowiednim: nie zabiłaby się jeszcze rana, zadana przez stuletnią zgórą niewolę, ani nie przestano jeszcze oplakiwać poległych w walce z najazdem rosyjskim 1920 roku obrońców ojczyzny. Dzieło, zakrojone na wielką skalę i mające naprawdę charakter monumentalny, stanowiło wtedy jedynie poważną pozycję bibliograficzną lub bezcenną pomoc naukową, — nie miało jednak żadnych szans na spopularyzowanie siebie i swego tematu.

Ukazująca się dziś w wielkim ilustrowanym wydawnictwie zbiorowym „Wielka literatura powszechna“ Trzaski, Everta i Michalskiego — „Literatura rosyjska“ jest pracą — jak rzadko — na czasie, pracą jak najbardziej aktualną, — toteż wprost obowiązkiem, nakazem moralnym, dla krytyka, zajmującego się literaturą rosyjską i dążącego do zaznajomienia szerokich sfer społeczeństwa polskiego z tą wspaniałą literaturą — staje się konieczność nie tylko powitania najświeższego dzieła prof. Brücknera, nie tylko podkreślenia jego znaczenia i jego wartości, ale też i konieczność głośnego nawoływania tych wszystkich, którzy z tych czy innych względów, pod tym czy innym kątem widzenia interesują się literaturą rosyjską, — by zachcieli, jako niezbędną, gruntowną podstawę, jako świetny zarys rozwoju tej literatury — poznać i przestudjować tę ostatnią, popularno-encyklopedyczny charakter mającą, pracę wielkiego polskiego uczonego.

Co więcej, trzy prace prof. Brücknera są jedyną fundamentalną podstawą dla studjów nad literaturą rosyjską, dla każdego Polaka dostępną; istniejący poza niemi przekład polski krótkiego zarysu literatury rosyjskiej profesora uniwersyteckiego Pradze Luckija ani pod względem ilości zawartego materiału, ani swym znaczeniem i wartością naukową nie może rywalizować z dziełami Brücknera.

Kilkrotnie i to w różnych miejscach i przy różnych okazjach rżni, a jakże nieliczni! — badacze — naukowcy lub krytycy literacy, specjaliści od literatury rosyjskiej u nas, zwracali uwagę na przerażającą ignorancję w sprawach piśmiennictwa rosyjskiego u większości nie tylko sfer czytelnicy, ale nawet elity intelektualnej w Polsce; u mniejszości zaś interesującej się literaturą rosyjską i pracującej nad jej poznaniem, uderza jednostronność, przypadkowość, tendencyjność, brak szerokich horyzontów w zakresie poznawania zjawisk literatury rosyjskiej, poznawanie jej okresów najnowszych, najbardziej aktualnych, poznawanie, oderwane od wszelkiej łączności z całokształtem biegów tej literatury, brak zdolności lub niechęć do studjów porównawczych, do uogólniania, do obiektywizowania, — a przedewszystkiem brak podstaw, brak prymitywnej częstokroć

najogólniejszej choćby znajomości całokształtu dziejów rozwoju literatury rosyjskiej.

Nieraz się zdarza, że świetny znawca powieści sowieckiej, ujmujący ją pod społeczno-politycznym kątem widzenia jedynie, — nie tylko nie pragnie, ale nie ma możności sprawdzić swych tez na tle porównawczem w stosunku do poprzednich etapów rozwoju powieści rosyjskiej; nieraz „spac“ od futurizmu rosyjskiego nie jest w stanie nawiązać tego, co się dzieje w najnowszej poezji rosyjskiej, do czkół poetyckich i indywidualności twórczych w epokach dawnych; fachowcy zaś od problemu miłości i kobiety w dzisiejszej literaturze rosyjskiej nie zadadzą sobie trudu zapoznać się z ujęciem tego problemu u Turgieniowa, Dostojewskiego, Tolstoja, Andrejewa, Briusowa, Błoka.

Zresztą i nieliczni znawcy literatury rosyjskiej u nas pracują w przeważającej mierze nad tematami specjalnymi, na i poszczególnymi epokami literackimi, kierunkami poetyckimi lub indywidualnościami twórczymi. Tem cenniejsze są encyklopedyczne prace Aleksandra Brücknera, poświęcone całości dziejów literatury rosyjskiej.

Wspominana już wyżej, wielka dwutomowa „Historja literatury rosyjskiej“ to typowy twór, typowe dzieło duchowe Brücknera z jego wszystkimi właściwościami, jego zaletami i wadami, dobrze znanymi tym, którzy przestudjowali jego dwutomową „Historję literatury polskiej“. Książka olśniewa i zdumiewa olbrzymim nagromadzeniem materiału, bogactwem szczegółów, głębią w ujmowaniu problemów, śmiałością, oryginalnością i trafnością sądów, niezależnością myśli, dużym obiektywizmem i wysoką artystyczną wartością stylu. Styl to jednak zawily, niejasny, za trudny dla czytelnika średnio-inteligentnego czy średnio-wykształconego, a nawet nieraz i dla początkującego pracownika naukowego, tem bardziej jeżeli umysłowość jego ma charakter systematyczny, ścisły, suchy i logiczny, a wyżyta jest wyobraźnia i zdolności do błyskawicznego samodzielnego syntetyzowania. Zawila też jest kompozycja dzieła Brücknera, stająca się chwilami chaotyczną, nie dbającą o systematyczność wykładu. Najbardziej szwankuje chronologia: często czytelnik, doskonale poznający, a nawet zżywiający się z danym kierunkiem literackim, postacią

twórcy czy dziełem, nie może umiejscowić tego zjawiska literackiego w czasie, nie może przeprowadzić analizy porównawczej, nie będąc w stanie polapać się w którym roku czy w którym dziesięcioleciu dane zjawisko ma miejsce, a gdy chodzi o literaturę dawniejszą — nawet, w którym wieku.

Szczególny nacisk i to nacisk przesadny, wypaczający istotną perspektywę obrazu dziejów literatury rosyjskiej, — kładzie Brückner na literaturę dawniejszą, literaturę nie rosyjską w naszym pojęciu tego określenia, ale „staro-ruska“ mającą wartość zabytków kulturalnych i historycznych jedynie, nie zaś literacką. Cały prawie pierwszy (większy od drugiego) tom poświęcony jest tym zabytkom, których znaczenie i rolę w dziejach rozwoju literatury rosyjskiej autor, kierowany pasją uczonego — badacza, nie słusznie wyolbrzymia za szkodę dla prawdziwości wyobrażenia, jakie o literaturze rosyjskiej, jej rozwoju i głównych jej etapach wysnuwa z lektury tego dzieła czytelnik. Mniejszą część k. tomu zajmują dzieje literatury w okresie po reformie Piotrowej, a więc wiek XVIII., i twórczość Puszkina, ujęta i wyłożona wprost wspaniale, choć i zupełnie niepotrzebnie, a nawet wprost błędne z punktu widzenia kompozycyjnego oderwana od reszty literatury XIX. wieku i przeniesiona do tomu I-go.

W tomie II-gim, którego treść znacznie bardziej zajmuje czytelnika, niż wyczerpujące opisy zabytków piśmiennictwa staro-cerkiewnego — autor staje się bardziej zwięzły, chwilami aż rażący w sensie kompozycyjnym — aż zwięzły. Na specjalną uwagę zasługują ustępy, poświęcone ogólnej charakterystyce okresów i kierunków, a w szczególności rozdziały o twórczości Tolstoja i Dostojewskiego, gdzie Brückner uderza, a chwilami porywa głębią i trafnością sądów o tych największych pisarzach, a w szczególności sztuką wydobywania kontrastów, pozwalających jak najlepiej przytomnie sobie różnicę działające tych dwu tytanów literatury. Najlepsze są końcowe ustępy, omawiające literaturę najnowszą po rok 1914. Odnosi się wrażenie, że wielki uczonec albo nie orjentuje się dobrze w kierunkach literackich owej epoki i w twórczości poszczególnych autorów, albo zbyt już lekceważy sobie tę najnowszą literaturę. Niektóre postacie wcale wybitne są

zupełnie przemilczane, inne fałszywie naświetlone, — chwilami uderzają dziwnie rażące błędy — prawdopodobnie musiał tu zawinąć pośpiech, brak dobrej korekty lub względy kompozycyjne, które mściły się na czasach najciekawszych — najnowszych za zbyt szczegółową, skrupulatną, niesłychanie sumienną, obszerne a rozległe traktowanie zabytków czasów dawnych.

W popularnej „Literaturze rosyjskiej“ w zbiorowym wydawnictwie Trzaski, Everta i Michalskiego nie dostrzegam już wielu z pośród wspomnianych wyżej usterek pierwszej pracy; perspektywa bez zarzutu, — zabytkom czasów dawnych poświęcono krótkość Puszkina i jego epokę; znów uderzają świetne charakterystyki twórczości Dostojewskiego i Tolstoja, — niezwykle też sumiennie, — co nawet zadziwia, gdy się wspomni pierwsze dzieło, — opracowana jest literatura najnowsza, literatura wieku XX. Niektóre sądy Brücknera mają nawet charakter rewelacji (np. w sprawie „Dwu-nastu“ Błoka) — widać, że wielki uczonec nie lekceważył sobie literatury czasów ostatnich. Syntazy bardzo głębokie, trafne i oryginalne, choć nieraz za oryginalne. Dużą wartość popularno-informacyjno-pedagogiczną posiadają liczne podobizny autorów i ich autografy. Dla nas Polaków specjalnie ciekawy jest autograf wieszczka Balmonta o Konradzie Kasprzowcu.

W swoim rodzaju zupełną niespodzianką dla tych, którzy znają dwutomową „Historję literatury rosyjskiej“ jest nieduża (dwieście kilkadziesiąt stron najmniejszego niemal formatu) książeczka Brücknera o literaturze rosyjskiej, wydana przez popularne wydawnictwo Zuckerkandla w Złoczowie. Praca ta ma charakter zdecydowanie popularny; to, co w wydanej przez Ossolineum wielkiej Historji Lit. Ros. zajmowało dwie trzecie I-go tomu — zapytki i literatura przed w. XVIII. — opowiedziane tu jest w paru słowach, nawet wiek XIX. omówiony jest dosyć pobieżnie — natomiast bezcenne są naprawdę liczne, popularne a więc krótkie, ale gruntowne i bardzo ścisłe i nienagane szczegóły z zakresu literatury najnowszej, co największą wartość przedstawia dla przeciętnego czytelnika.

Jak widzimy, trzy te literatury rosyjskie“ Brücknera uzupełniają jedna drugą równoważą wzajemnie zalety i błędy i razem stanowią dzieło monumentalne, epokowe.

Teodor Parański.

Trójjęzyczne radio w jednym kraju

W Szwajcarii, kraju zamieszkiwanym przez trzy narodowości, przez Niemców, Francuzów i Włochów, i do tego kraju niedużym, zadanie radia nie należy do najłatwiejszych. — Musi się sieć stacji radiowych rozłożyć w ten sposób, aby każda z grup narodowych otrzymywała audycje w swoim języku i to dostosowane do jej obyczajów, zainteresowań i temperamentu. Wobec tego Towarzystwo radiowe szwajcarskie z główną siedzibą w Bernie utworzyło trzy grupy stacji, niemiecką, francuską i włoską, które cieszą się dobrą opinią w świecie słuchaczy radiowych.

Grupa niemiecka ma swoje trzy główne studia w Bazylei, Bernie i Zurychu. Dom radiowy w Bazylei jest najpiękniejszy i najbardziej romantyczny ze wszystkich. Leży na krańcu miasta, w rozległym parku Małgorzaty. Speaker tego radia, Werner Hausmann, jest z zawodu aktorem, występował dawniej w Berlinie, a obecnie jest w jednej

osobie reżyserem, reporterem i aktorem w słuchowiskach radiowych.

Studia stacji w Zurychu znajdują się na piątym piętrze wielkiego domu handlowego. — Speakerem jest Bert Herzog, który równocześnie kieruje wielkim tygodnikiem radiowym. — Jest on senjorem speakerów szwajcarskich.

Powstało nowe włoskie towarzystwo radiowe „Radio Svizzera Italiana“, co z pewnością pociągnie za sobą wzrost radiosłuchaczy między włoską ludnością w Szwajcarii. Prowadzona w języku włoskim stacja Monte Ceneri ze studjum w Lugano cieszy się dobrą opinią w świecie radiowym. Kierownikiem jej jest F. A. Vitali.

Radio szwajcarskie rozwija się w bardzo szybkim tempie. Dość stwierdzić, że w ciągu ostatnich dwu lat liczba radiosłuchaczy skoczyła ze 150.000 na 300.000. W najbliższym czasie skutecznym zostanie wzmocnienie wielkiej stacji nadawczej w Szwajcarii, co

z pewnością wpłynie w dalszym ciągu na zwiększenie się liczby słuchaczy

Sto mikrofonów na wędrownie

W ciągu lutego br. sto mikrofonów wędrowało po Niemczech, aby zapoznać radiosłuchaczy z niemieckimi prowincjami, miastami i wsią, z ich mieszkańcami na tle ich życia i pracy. Bejortaż te były krótkie 6-cio minutowe i miały objąć całokształt życia. Wędrownka stu mikrofonów zorganizowana została w sposób planowy i systematyczny, aby żaden ważniejszy ośrodek niemiecki nie został pominięty.

Każda prowincja i większy ośrodek miał podać jakiś charakterystyczny moment ze swego życia. W Prusiech w chłopskich polach nacisk na rolnik, Gdańsk dał obraz swego handlu, Wrocław mówił o górniku, Lipsk o tkacz, Kolonia o wielkim przemyśle, Hamburg o swoim porcie i dżakach, Frankfurt o przemyśle chemicznym, Berlin o przemyśle metalowym i o kantorach handlowych, Monachium zaś opowiadało o drwalach i robotnikach leśnych i o tratwach z drzewa płynących po rzekach. Chodziło więc o stworzenie z poszczególnych momentów ogólnego obrazu życia niemieckiego robotnika, jego stron tak pogodnych jak i smutnych. (w)

„Odwiedziny i spotkania”

Istnieje niezły dowcip o człowieku, który wypełniając jakiś skomplikowany formularz urzędowy, w rubryce „Zawód” napisał: „esteta”. Odpowiedź za pozostać musi naturalnie w sferze anegdoty, ale gdyby istniał w Polsce taki cech zawodowych estetów, jak istnieją cechy szewców, rzeźników, czy krawców, to na jego czele bezspornie stanąłby największy tego nie-rejestrowanego rzemiosła artysta. — Jan Parandowski. Nikt chyba drugi ze współczesnych nie reprezentuje takiego wykwiutu duchowego, takiej elegancji myśli i słowa, takiej dbałości o nieskazitelność języka i piękno stylu, jak on. I nie będzie zbyt rażąca przesadą twierdzenie, iż wśród najwybitniejszych naszych pisarzy nie znajdzie się dosłownie ani jeden, mogący z nim rywalizować na polu onstrukcji zdań, wspaniałych okresów, doskonałych w swej harmonii, jak doskonale są kształty greckiego dyskobola, zastygłego w imponującym przegięciu.

To nie przypadek nasuwa pod pióro recenzenta piszącego o Parandowskim — porównania z dziejów antycznych. Kultura starożytnej Grecji, Grecji Homera i Sofoklesa, Fidjasza i Praksytelesa, Sokratesa i Platona wywarła na autora „Dysku olimpijskiego” wpływ przemożny, decydujący o charakterze całej jego twórczości. Uwielbienie dla Tadeusza Zielińskiego bijące z kart jednego ze szkiców, składających się na wydane ostatnio „Odwiedziny i spotkania”⁽¹⁾ ma swe źródło właśnie w owym kulcie Hellady, wspólnym dla obu świetnych jej duchowych spadkobierców. O sławnym uczonym-filologu pisze Parandowski tak, jak się pisze tylko o najumiłowańszych przewodnikach po labiryncie wiedzy, dla których żywi się podziw i zaufanie bez granic. — z entuzjazmem fanatycznego wyznawcy tej samej religii, tych samych prawd, objawionych im może kiedyś w upalny wieczór, kiedy promienie zapadającego w morze słońca kładły się na błyszczącym hełmie i tarczy Pallas Ateny, strzegącej poszczerbionych murów, kolumn i świątyń ateńskiego Wawelu. Stąd też pochodzi gorąca sympatja dla renesansu, który był tej dawnej umarłej cywilizacji nawrotem i stąd w superlatywach utrzymana praca o Kochanowskim. — niedoścignym czarodzieju mowy staropolskiej, całą swoją indywidualnością artystyczną, głęboko wrośniętym w epokę odrodzenia.

„Odwiedziny i spotkania” przynoszą zatem szereg studjów z literatury

nowszej, o autorach szczególnie drogich sercu Parandowskiego. Ze wśród nich figuruje Anatol France, to rozumiałe: pod portretem Sylwestra Bonnarda możnaby bez obawy podpisać imię i nazwisko autora „Dysku olimpijskiego”. — Większe zdziwienie może budzić fakt, iż najbliższym sąsiadem France’a jest Gustave Flaubert, ale dowiadujemy się wkrótce, że Parandowskiego zachwycają nie tyle dzieła, ile metody pracy twórczej szermierza francuskiego naturalizmu.

Głęboka wnikliwością i trafnością refleksji odznacza się ocena znanej książki Remarque’a „Na Zachodzie bez zmian”. „Ta godna szacunku książka jest literackim pomnikiem nieznanego żołnierza”, — pisze Parandowski, pod-

kreślając rzetelność autora w opisywaniu faktów, zadziwiająca umiejętność wzruszania czytelników brakiem fałszywego patosu, szczerością wypowiedzi, dużym umiarem artystycznym w kreśleniu dantejskich obrazów wojennego piekła.

Pierwiastek polemiczny wnosi „Zdrada klerków”. — artykuł otwierający dyskusję nad głośną książką Juliana Bandy „La Trahison des clercs” wydanej w Paryżu w r. 1927, książka, która w gwałtowny sposób oskarżyła intelektualistów europejskich ostatniego półwiecza o poświęcenie swych talentów i umysłów celom nie mającym nic wspólnego z ideą bezinteresownej służby dla sztuki. Za jeden z takich niskich, przyziemnych celów uważa

Benda nacjonalizm, rzekomo podsycający nienawiść — co Parandowski ostro zwalcza, stwierdzając, że „duma narodowa nie jest naganna, jeśli opiera się na wywyższeniu cech istotnie godnych pochwały” i że „żaden człowiek nie może kochać wszystkich ludzi jednako”.

W ostatnim czasie ukazało się kilka tomów-studjów, zbliżonych tematycznie do książki Parandowskiego: „Słońce wśród porcelany” Irzyrowskiego, „Prosto z mostu” St. Piaseckiego i t. p. Obiektywnie stwierdzić można, że „Odwiedziny i spotkania”, jakkolwiek, a może właśnie dlatego, iż przynoszą najmniej teorii a najwięcej praktycznego, prawdziwie ludzkiego ustosunkowania się do zjawisk literackich — wyróżniają się na ich tle wspomnianą na początku klasyczną doskonałością stylu.

Z. P.

Ciekawostki ze świata

O spoczynek niedzielny

Pod wielu względami jest Anglja postępowa, ale pod względem ustaw niesłychanie konserwatywna. W sporach i procesach powołują się ludzie ustawicznie na prawa z przed kilku wieków. Niedawno doszło do konfliktu między rzeźnikami a radą miejską miasteczka Faringdon w Berkshire. Powodem był ubiór bydląt w niedzielę. Rada powołała się na akt parlamentu z czasów Karola I. (1625—1649), wyraźnie zabraniający czegoś podobnego pod grzywną 6 szylingów, 8 pensów (była to w w. XVII suma dość duża). Rzeźnicy, którym zagrożono skargą sądowną, odbyli naradę, i zapowiedzieli dygnitarzom gminnym, że będą śledzili ich w niedzielę, dla sprawdzenia, czy chodzą do kościoła tyle razy, ile razy nakazuje ten sam

akt z czasów Karola. Wobec tej groźby rada postanowiła wstrzymać się z akcją przeciw rzeźnikom i jeszcze ponownie rzecz rozważyć.

Życie nocne w Moskwie

Surowe przepisy, dotyczące trybu życia, które towarzyszyły pierwszej piatilecie, przestały poniekąd ciążyć ludności i objawiła się chęć zabawy. Coś podobnego można było obserwować za czasów Nepu.

Zdawna popularne sporty zimowa, ślizgawka i narciarstwo, mają o wiele więcej zwolenników, niż przed wojną. Lecz pora rozrywki jest przedewszystkiem wieczór.

Wypełniają się tedy liczne teatry i kina. W operze wszystkie lepsze miejsca są zarezerwowane dla „szturmowców prasy”

(udarników). Stosuje się jednak dość liberalną interpretację tej nazwy, zaliczając do udarników także inżynierów, studentów i urzędników, a nawet wogóle ludzi, którzy mogą powołać się na pewne zasługi.

Ludność Moskwy bardzo lubi cyrk i widać to po frekwencji. I tu jednak święci triumfy propaganda. Tradycyjni dwaj kłowni, występujący w groteskowych kostjumach (jedna nogawica spodni zawsze krótsza od drugiej itp.), wypełniają swój dialog żartami z lichą jakością różnych wyrobów, ale stale kończą apelem do robotników, aby starali się polepszyć poziom produkcji.

Najbogatsi gromadzą się w hotelu, Metropole, gdzie pije się szampana i tańczy dokoła fontanny umieszczonej na środku sali. Stroje się i dziś jeszcze bardzo rozmaite. Po czarnym ubraniu można poznać członków ciała dyplomatycznego, którzy uczęszczają prawie wyłącznie do tego lokalu. Ceny w Metropole są bardzo wygórowane, a rachunek obejmuje każdą drobnostkę — od bułki do kolorowego balonika. Przy każdym stole białym przytwierdzony jest na sznureczku taki balonik, a w czasie zabawy rozochoceni goście przywiązują do niego okrąwek zapalnego papieru i przecinają sznurek, ażeby balonik eksplodował w powietrzu.

Wieża Eiffla w nocy

Oczy Paryżan zwracają się w nocy często ku wieży Eiffla, którą oświetla na swój swój koszt różnobarwnymi lampkami firma Citroën — naturalnie co pewien czas daje swoje ogłoszenie. Od zeszłego roku jest na wieży ogromny zegar, z świecącymi jasno wskazówkami, obecnie zaś umieszczono nad nim termometr, również kolosalnych rozmiarów. Początek sięga tylko do 20 stop. C. wyżej zera i 10 stop. C. niżej zera. Nowa temperatura Paryża nie przekracza zazwyczaj tych granic. W ostatnich czasach opowiadają na ten temat żart: Szczęściar, że idzie i temperaturę fizyczną, a nie polityczną.

Na wyspy Liparyjskie!

Jak wiadomo, rząd faszystowski przykłada wielką wagę do rozrostu ludności. Tymczasem w północnych Włoszech stwierdzono jej spadek. Najgorzej przedstawia się rzecz w Turynie, Brescji i Nowarzu. W prowincji Turyńskiej liczba ludności spadła w ciągu ostatnich miesięcy o 765 głów, dane te wzięte są z Pojolo d'Italia. Rząd myśli o środkach, któreby usunęły tę niepożądaną objaw. Zwrócono uwagę że właściciele domów nieraz odmawiają wynajęcia mieszkań rodzinom, w których jest dużo dzieci. Rzymska Tribuna zapowiada surowe postępowanie z nepatryjotycznymi kamienicznikami. Nazwiska ich spisywane będą w listach, które otrzyma do odpowiedniego zażytkowania Komisja deptryacyjna. Jak wiadomo jest ona uprawniona do wysyłania osób objętych plci na wyspy Liparyjskie na czas lat pięciu.

Przeciw arabskim imionom

Mustafa Kemal prowadzi konsekwentną walkę z arabskimi imionami, dotychczas bardzo rozpowszechnionymi w Turcji, które chce wykorzystać na korzyść tureckich. Niedawno przyniosły gazety list Kemal do Bekir Sami Beja, gubernatora Jozgadu. Pismo zaczyna się od pochwał i podziękowań za podobne zasługi, potem prezydent wyraża życzenie, aby gubernator zmienił imię na Baran (tj. Obrońca). Również prosi zastępcę gubernatora Ahmeta Awni Beja, aby porzucił swe arabskie imię, a nazywał się Sungur (tj. Sokół).

N. P.

Podróże domów

Przed paru tygodniami załadowano w jednym z portów londyńskich rozebraną willę słynnego podróżnika kapitana Cooka, która ma być ustawiona w Melbourne, Australia zapragnęła mieć tę pamiątkę po człowieku, który pierwszy zwiedził znaczniejszy obszar tej części świata.

Pomysł nie jest nowy. Stosowali go często Amerykanie. Jak wiadomo, w Stanach Zjednoczonych, które są krajem bardzo młodym, panuje właśnie z tego powodu kult wszystkiego, co starożytne. Zresztą wielką rolę odgrywa tu snobizm. Przed samym wybuchem wojny światowej niejaki Phelps Stokes z Greenwich w stanie Connecticut nabył w Ipswich w Anglii, nieśladwie na wagę złota dom, zbudowany w XVI. w., kazał go rozebrać i przewiózł w 688 skrzyniach za ocean, gdzie go ustawiono jako jedno ze skrzydeł pałacu. Tym sposobem mógł Mr. Stokes szczerzyć się najstarszym domem w Stanach Zjednoczonych.

Podobnie przewieziono do Wirginii piękny dwór szlachecki Agecroft Hall z

Lancashire.

Póki w Stanach panował powojenny dobrobyt, podobne zaopatrywanie ich w starożytne budowle było dość częstym wypadkiem. Niezawsze jednak na nie po zważano. Zdarzyło się, że z planu odnowienia pewnej części Cpaictwa Westminsterkiego wynikała potrzeba usunięcia pięknego gotyckiego okna. Władze duchowne zawahały się, czy godzi się to zrobić, a chęć pozbyc się odpowiedzialności, ogłosiły projekt w gazetach, pytając publiczność o opinię. Zdania były podzielone i wywiązała się ożywiona dyskusja. Zwróciła ona uwagę pewnego Jankeasa, który nadesłał ofertę, oświadczając gotowość zapłacenia wysokiej ceny za okno wraz z framugą. Odrzucono jego propozycję z wielkim oburzeniem.

Inny jego rodak kupił przed kilku laty starą willę w Lavenham celem zabrania jej do Ameryki, ale wdało się w sprawę Towarzystwo Opieki nad starymi budowlami. Wywózto zabroniono i domek ustawiono napowrót na dawnym miejscu.

A. E.

Shitleryzowany Szekspir

Na scenie berlińskiego Teatru Schillera wystawił „Pruski Teatr dla Młodzieży” „Henryka IV.” Szekspira. Jak wiadomo, jest to dramat historyczny w dwóch częściach, w którym sceny poważne przeplatają się z komicznymi, a na pierwszy plan wybija się postać Falstaffa. Treść zaczerpnięta z dziejów obejmuje szereg zamieszek i buntów z czasów pierwszego z rodziny Lancasterów. Pewną jedność akcji stwarza postać Henryka księcia Walji (późniejszego Henryka V.), który prowadzi życie rozpustne i traci czas po zynkowniach w towarzystwie Falstaffa, ale jest w gruncie rzeczy naturą bohaterką, w walce z buntownikami okazuje się dobrym żołnierzem i zabija ich wodza, a po śmierci ojca wypędza towarzyszy swych zabaw. Będzie władcą silnym i zwycięskim (co pokazuje Szekspir w jemu osobno poświęconym dramacie). E-

wolucja Henryka nie ma wyraźnej linii, gdyż Szekspir napisał część pierwszą, nie myśląc o drugiej, która zawdzięcza swe powstanie dopiero powodzeniu tamtej. Stąd książkę poprawia się już w części pierwszej, w drugiej właściwie obawy o niego powinny być zbyteczne. Natomiast poszczególne sceny są wspaniałe, bogactwo charakterystyki niezrównane.

Niemiecka reżyserja złączyła obie części w jeden dramat, który wypełnia około czterech godzin czasu. Około połowy scen pominięto, pprawiając tym sposobem poniekąd wadliwą budowę, choć rezygnując z wielu piękności dramatu. Przeprowadzono zresztą i inne zmiany. Sztuka stała się, jak stwierdzają krytycy berlińscy, alegorią Niemiec dzisiejszych.

Falstaff przedstawia ostatnich lat czternaście. Pod jego wpływem książę Henryk odwrócił się od wyższych celów i w towarzystwie pijackim zatracił go-

ność narodową. Ale uwalnia się od jego wpływu. Jak dzisiejsza młodzież niemiecka wstępuje na drogę czynu i odpowiedzialności. Będzie wodzem narodu, i po prowadzi go do zwycięstw i uczyni wielkim.

Naturalnie ze sztuki takiej, jaką napisał Szekspir — największy dramatyczny geniusz świata germańskiego, jak go nazywają przy tej sposobności gazety berlińskie — zostało niewiele. Falstaff stracił całą subtelność i stał się postacią groteskową. Wogół zatarała się genialna charakterystyka, a namnożyło się tanich efektów. Natomiast recenzenci prześcigają się w wysnuwaniu ze zreformowanego po hitlerowsku Szekspira coraz nowych nauk moralnych i myśli ogólnych. Jeden z nich twierdzi, że dramat przedstawia walkę ojca o serce syna tj. walkę Hitlera o duszę narodu niemieckiego.

N. P.

